№ 27. Piątek, dnia 2 Kwietnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA dnia 21 Marca (2 Kwietnia) 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

MUZYKOMANIA.

(K. J.) Zwyczaj częstokroć staje się prawem do którego stosujemy się wszyscy bez względu na to czy to stosowanie się ślepe przynosi nam korzyść czy ma za sobą chociażby najmniejszą racyą bytu i czy się daje usprawiedliwić potrzebą.

Zwyczaj wpływa nieraz na nasze przekonania i stwarza potrzeby, w konieczność których wierzymy i które staramy się chociażby największym kosztem zaspokoić. A siła tego zwyczaju jest tak wielką, że niezdołamy się jej opierać pomimo pewnych refleksyi, które mimowoli przychodzą na myśl i każą się zastanawiać nad tem czy potrzeba, której mamy zaradzić jest potrzebą i czy rzeczywiście wymaga zaspokojenia. Nie opieramy się, pomimo to, iż widzimy sami, że wartoby się oprzeć i zaoponować czynnie przeciw despotycznej, a dobrowolnie przyjętej władzy tego właśnie zwyczaju.

Nie jeden duma długo nad zamierzonem przedsięwzięciem—i widzi że ślepe kroczenie za zwyczajem nie jest ani potrzebnem ani korzystnem, widzi to, a jednak postępuje przeciwnie, dlatego że inni tak robią.

Objaw, o jakim mówimy ma miejsce w bardzo wielu razach i okolicznościach. Zatrzymamy się nad jednym z licznych przykładów.

Wszechwładztwo zwyczaju w prywatnem kształceniu dziewcząt wyrobiło i ustaliło pewien program nie ulegający prawie zmianom jakie ciągły i nieustający postęp dyktuje, niewzruszony zmianą czasów, ani pojęć. Wiadomo jest bowiem powszechnie, że edukacya domowa dzisiejszych panien, nie wiele się różni od tego wykształcenia, jakie przed kilkudziesięcioma laty otrzymywały nasze babki. Tenże sam język francuzki, taniec, robótki ręczne i muzyka, a wystkie te umiejętności razem wzięte, połączone z kilkoma wiadomościami z historyi i jakiem takiem obejściem się w salonie, zdobią przyszłe żony, matki i obywatelki kraju.

Nie mam zamiaru rozwodzić się szeroko nad wadliwością wykształcenia tego rodzaju. Przedmiot to za obszerny i w ostatnim czasie przez organy poświęcone pedagogii już poruszony; w tem miejscu chcielibyśmy tylko zastanowić się nad pytaniem: o ile potrzebną jest nauka muzyki w ogóle, a gry fortepianowej w szczególności i na co w późniejszem życiu dziewczęcia przydać się może.

Umiejętność gry na fortepianie, tak jest ściśle zespoloną, z pojęciem o wykształceniu młodej osoby, iż wszyscy rodzice starający się aby ich córka mogła za wykształconą uchodzić, nie szczędzą ani kosztów, ani starań, aby umiała grać.

Bez względu na to, czy panienka ma talent czy jej też tego daru przyroda odmówiła, nie zważając czy ma zamiłowanie i pociąg do muzyki, już w ósmym roku życia zasadzają ją do fortepianu, i tu rozpoczyna się długoletnie męczeństwo klawiatury, nieskończone egzercycye, pasaże i gamy tak przyjemnie działające na nerwy sąsiadów.

Wirtuozka salonowa in spe która kiedyś w przyszłości słowami tonów i akordów przemawiać będzie do serc kandydatów na męża, pracowicie odbywa studya, aż do czasu w którym uznaną zostanie za dorosłą pannę.

Wtedy rezultat kilkoletniej pracy i znacznych kosztów wyłożonych przez rodziców, opłaconym zostaje znakomicie ponieważ córeczka egzekwuje różne *rzeczy do tańca i do słuchu* i potrafi sobie zaakompaniować do śpiewu. Oto i wszystko.

Cała korzyść z kilkoletniej pracy i znacznych wydatków redukuje się do tego, że panna grywa w salonie przez ten cały czas, w którym jest na wydaniu.

Następnie naturalną koleją rzeczy, wychodzi za mąż a razem z tą zmianą dotychczasowego jej życia, przybywają liczne obowiązki nieodłączne od roli gospodyni domu i matki. Ponieważ mówimy tu o klasie średniej, przeto przybywa także, kłopot i troska, o chleb powszedni, którą trzeba z mężem podzielić.

I skutkiem tego w saloniku młodej gosposi fortepian otwierany bywa coraz rzadziej, następnie zaś zamyka się starannie, sama pani ma co innego na głowie, aż nareszcie ów wymęczony instrument milknie zupełnie i czasem tylko odzywa się przy ocieraniu go z kurzu, lub za dotknięciem gościa.

I wtenczas młodej mężatce nasuwa się myśl po co ją tego uczono? dlaczego kazano tyle godzin nad gamami przepędzić i na co jej się zda ta znajomość taktów, półtaktów, krzyżyków i bemoli?

Nie mając czasu, zaprzestawszy grać zupełnie traci wprawę, zapomina grać i świetna wirtuozka salonowa staje się zwykłą śmiertelniczką a sonety, fantazye i dumki przechodzą w świat ubiegły i żyją tylko we wspomnieniu.

Kto niewierzy w to, że się tak dzieje niech raczy obserwować w towarzystwie czy panie starsze grywają, niech je zapyta czy się grać uczyły, a potem niech sobie przypomni nasze słowa a bezwątpienia zgodzi się na to, cośmy wyrzekli.

Taką jest zwykła historya owoców długoletniej pracy nad muzyką, tak sowicie opłacaną przez wychowujących, a kosztem licznych godzin okupioną przez wychowaną.

Nie od rzeczy będzie zastanowić się nad tem ile mniej więcej czasu wymaga nauczenie się gry i jaki w przybliżeniu pociąga za sobą wydatek.

Zwykle w dziesiątym roku życia dziewczynki zaczynają uczyć się muzyki i uczą się aż do chwili w której uznane zostaną za dorosłe panny. Chwila ta zwykle ma miejsce w roku siedemnastym, nauka więc trwa około siedmiu lat. Ponieważ w muzyce wprawa gra rolę bardzo ważną, przeto lekcye odbywają się codziennie, czyli że otrąciwszy ſniedziele i święta, panienka bierze na rok 250 godzin lekcyi, co przez cały czas nauki uczyni blisko 1800 godzin lekcyi, oprócz tego ma miejsce gra bez nauczyciela dla wprawy, która to gra zajmie zapewne dwa razy tyle czasu i nie będzie żadnej przesady jeżeli powiemy, że cały czas poświęcony fortepianowi i nauce myzyki wyniesie około 5000 godzin.

1800 lekcyi licząc, że za każdą trzeba zapłacić przynajmniej 50 kop. kosztuje 900 rubli srebrem.

Jeżeli weźmiemy na uwagę, że u nas w każdym domu jest po kilka fortepianów, i po kilka uczących się panienek, to doprawdy musimy się zadziwić nad olbrzymią cyfrą wydatków, i ogromną stratą czasu ponoszoną dobrowolnie, bez żadnego innego celu, oprócz ślepego naśladownictwa, oprócz zwyczaju którego się pozbyć nie możemy.

A za te pieniądze wyrzucone napróżno i zmarnowane nieprodukcyjnie, nietylko możnaby wiedzę dziewcząt zbogacić lepszym i pożyteczniejszym nabytkiem ale nie byłoby trudnem wykształcić kosztem ogółu kilka jednostek mających rzeczywisty talent i mogących dojść w muzyce do sławy. Możnaby dopomódz niejednemu artyście, podać mu dłoń życzliwą, przysłużyć się ogółowi, zamiast topić niepotrzebnie fundusze na cel, nie mający za sobą najmniejszej racyi bytu.

Są tacy, którzy naukę muzyki usprawiedliwiają tem że muzyka jako jedna ze sztuk pięknych, kształci i rozwija smak estetyczny, i dlatego pragną ją widzieć w programie nauk dziewczęcia. Aleź przecie poezya, malarstwo, rzeźba i architektura, to także sztuki piękne i nie mniej mogące rozwijać smak estetyczny,

a jednak ten sam ojciec lub matka, którzy każą dziecko bez talentu uczyć grać i potem słuchają jak im bębni nad uszami sonaty których nie rozumie— ci sami rodzice nie kazaliby swemu dziecku uprawiać par force żadnej ze sztuk wymienionych. Nie kazaliby swej córce pisać poematów, ani malować, ani rzeźbić ani tem więcej poświęcać się architekturze. Wydałoby im się to śmiesznem, gdyby na pensyi rzeźbiarstwa dajmy na to uczono.

Dlaczegoż więc muzyka ma taki przywilej? dlatego że ją zwyczaj uświęcił i że według fałszywych pojęć naszego ogółu, panna nie umiejąca grać na fortepianie, nie jest wykształconą.

Nie powstajemy przeciw muzyce; owszem niech się jej poświęcą kobiety z talentem, niech się jej uczą dla wieńców sławy, lub dla cierni nauczycielskiego zawodu;— ale pragnąć aby wszystkie nasze panny były wirtuozkami, znaczy to samo co chcieć, aby wszystkie były poetkami lub malarkami.

Zachodzi więc teraz pytanie, czy dążąc za zwyczajem, nie odeszliśmy za daleko od logiki. Odpowiedź Wam, czytelnicy zostawiam...

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wład. Wójcickiego.

VI.

Dominik Magnuszewski.—Utwory jego w Ziewonii.—Dramata.—Powieści.—Józef Dzierzkowski, powieściopisarz.—Jego stanowisko w literaturze.

Do współpracowników *Ziewonii*, jak i następnie *Albumu* Józefa Borkowskiego, należał młody *Dominik Magnuszewski*, uczeń Uniwersytetu Warszawskiego, bliski przyjaciel Zygmunta Krasińskiego i Konstantego Gaszyńskiego. Był też ulubionym uczniem Fryderyka Hr. Skarbka, z nim razem rozpoczęli tłómaczenie *Hernaniego*, dramatu Wiktora Hugo, który porywał wszystkie u nas młodsze umysły.

Szczególne zdarzenie zwróciło na pole dramatyczne i hrabiego Skarbka i jego ucznia.

Dyrektor małej trupy prowincyonalnej niespodzianie pierwszy raz pokazał się w Warszawie. Trupa to była zbierana, lubo z niej później wyszedł dobry komik *Niwiński*. Osiadła ona w małym teatrzyku w gmachu Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskim-Przedmieściu i zaczęła dawać przedstawienia. Publiczność Warszawska zwabiona nowym rodzajem widowiska, tłumnie zaczęła uczęszczać: śmiano się i żartowano z niezgrabnych, i małych zdolności owych aktorów, ale teatrzyk był zawsze pełny. Dyrekcya Teatru Narodowego zobaczywszy, że może istnieć drugi teatr w Warszawie, wzięła go pod swój zarząd i to był pierwszy początek: *Teatru Rozmaitości*. Szkoła dramatyczna dostarczyła zdolniejszych artystów i artystek. Wypadek ten, obudził zapał młodzieży ówczesnej do pisania sztuk dramatycznych dla tego teatru. Pierwszy dał hasło w tym kierunku Fryderyk hr. Skarbek. Wyborny jego *Popas*, *Nieproszeni goście*, *Bióraliści* i wiele innych drobnych sztuk a pełnych dowcipu i szczęśliwie schwyconej charakterystyki w przedstawionych postaciach, zdawały się zapowiadać świetną przyszłość scenie krajowej ożywionej oryginalnemi utwory. W te ślady poszedł i Magnuszewski. W roku 1828 przedstawiono jego komedyę wierszem p. n. *Stary Kawaler*, w której Niwiński odegrał główną rolę starego kawalera. Dykteryjka jego przy oświadczeniu się pannie, była żywcem naśladowana z pogawędek i starych piosnek sędziwych kontuszowców, które młody poeta podsłuchał w domu swego dziadka Dominika Borakowskiego, który go wychowywał.

Zaszczytne przyjęcie tej komedyi zachęciło Magnuszewskiego do napisania drugiej we dwóch aktach wierszem p. n. *Zdzisław czyli skutki płochości*. I ta równego jak pierwsza doznała przyjęcia. W ślad za nim poszli F. S. Dmochowski, Konstanty Gaszyński i Borys Halpert: wprędkim czasie złożył się obfity zasób sztuk oryginalnych.

Kiedy przybył wraz ze mną Magnuszewski, z Elbląga na *Pokucie* Galicyjskie, od razu potrafił zjednać sobie szczerą i serdeczną przyjaźń, Józefa Dzierzkowskiego, jak następnie Bielowskiego, i braci Borkowskich. Całe nasze grono niezwało go inaczej jak pieszczotliwym wyrazem: „*Domciu.*“

Niskiego wzrostu, szczupły, wątły, drobnego oblicza, w wielu chwilach życia, okazywał szczególną odwagę i wytrwałość. Gdyśmy w końcu listopada 1831 r. na morzu Baltyckiem, straszną burzą zaskoczeni zostali, Magnuszewski, pochwyciwszy oburącz maszt wielki aby wichurą z pokładu niebył zmieciony, z niezmrużonem okiem, spoglądał na straszny i przerażający obraz, i na te fale piętrzące się, co naszym okręcikiem miotały jak łupiną orzechową. Po kilkogodzinnej burzy rzuceni na ławy piaszczyste szczęśliwie uniknęliśmy rozbicia na pełnym morzu, gdy w oczach naszych wielkie okręty zapadały w jego toń przepaścistą. Patrząc wśród pomroki czarnych chmur zbitych jak góry w niebiosach, na białe żagle, widząc płomyki z paszczy dział buchające, i słysząc huk ich głuchy, któremi załoga statku przyzywała ratunku, dreszcz, każdego z nas przejmował. Magnuszewski na wszystko patrzał oczyma iskrzącemi, bladł tylko lub czerwieniał w miarę otrzymywanych wrażeń.

Na Pokuciu wytchnąwszy po trudach podróży długiej zimowej, zabrał się do pisania tragedyi na tle dziejów ojczystych. Wykończył rozpoczęty w Warszawie dramat historyczny *Hieronim Radziejowski* w pięciu aktach wierszem, i rozpoczął drugi: *Władysław Biały* w takichże rozmiarach także wierszem— szczególniej poetyczny. Skończył go już po wyjściu *Ziewonii* z druku. Oba te najpiękniejsze utwory, które prawdziwą byłyby ozdobą ubogiej naszej literatury dramatycznej, szczególnym zbiegiem okoliczności niezostały ogłoszone, a dyrekcye teatrów Krakowskiego i Lwowskiego niepostarały się o ich przedstawienie na swoich scenach. Po zgonie poety w młodym wieku, rękopisy wszystkie dostały się w ręce nieudolne, a trzymane zazdrośnie, w ukryciu pozostały ze szkodą dla ogółu.

Magnuszewski silnie podparł swemi utworami *Ziewonię*: drukował bowiem z poezyi: *Wołoszczyznę fagment historyczny*, wyjątek z poematu dramatycznego p. n. *Młodzieniec*, i wystąpił po raz pierwszy z powieścią: „*Guy-du Four czyli Pacta Conventa*,“ które mu niemały rozgłos w inteligencyi galicyjskiej zrobiły. W małym wierszyku, umieszczonym na ostatniej stronicy *Ziewonii*, jakby przeczuwał krótką wędrówkę światową, w *Imionniku*, napisał:

Pamiątek! jak do wiosny wołacie o kwiaty,
Ale wiosna ma pączki, może dać bławaty,
Ona ma róże, lilie, majowe niebiosa,
Jej słońce złotem błyszczy, perłą bije rosa,
Oto wiosny pamiątki! Moja, powieść stara,
Wdowi grosz, broń bez kolby, drzewce bez [sztandara,
Życie! gasnąca lampa, jak duch wsłabem ciele,
Przyszłość! bluszcz u przepaści, i iskra w po- [piele.
A może spytasz, czemu serce nie oniemi,
I czemu widny uśmiech na licach przybysza?
Słuchaj! ileż-to wrzasku na wierzchu tej zie- [mi,
A głębiej o dwa łokcie, jaka głucha cisza!....

W *Pracach literackich* redagowanych przez

U OGNISKA.

—N—W świątyniach Boga brzmią hymny radosne a z tysiącznych piersi wyrywa się okrzyk: *Alleluja!*.... Świat chrześcijański wesoło obchodzi pamiątkę zmartwychwstania.... Tylko natura w tym roku drzemiąc jeszcze pod śniegowym całunem zdaje się być niejako obcą tej ogólnej radości, i oczekując ożywczych promieni wiosennego słońca o zmartwychwstaniu z zimowego letargu nawet jeszcze nie marzy....

Minęły tedy święta Wielkanocne.... minęły owe dwa dni świąteczne, do których przygotowania tyle zwykle zabierają czasu, tyle kosztują pieniędzy, pracy i mozołu... Minęły, jak wszystko na świecie, pozostawiając po sobie wspomnienie, dla jednych przyjemne, dla drugich przykre i smutne nad wyraz. Stało się zadosyć zwyczajowi, a teraz wszystko do zwykłego, powszedniego powraca trybu.

Czy chcecie szanowni moi czytelnicy abym wam opisywał szczegółowo fizyognomią świąt tylko co ubiegłych? Czy chcecie, abym poczynając od środy wielkiego tygodnia, oprowadzał was po całem mieście i okazywał wam przygotowania, jakie Warszawianie czynili na święta? Czy chcecie, abym z wami chodził po kościołach w czasie obchodu grobów Zbawiciela, zaglądał na tace kwestarek i z ilości nagromadzonego tam złota i banknotów wysnuwał uczone wnioski o wzroście lub upadku dobroczynności mieszkańców starego naszego grodu? A może wolicie pójść ze mną do których z tych świątyń Pańskich, gdzie przy grobach artyści i amatorowie wykonywają śpiewy religijne, przysłuchać się tym śpiewom i tym rozmowom wesołym, a w tem miejscu tak bardzo stosownym, jakie się prowadzą, po większéj części po francusku, przez osoby oczekujące owych religijnych pieniów? Może później zajdziecie wraz ze mną w jedno i drugie miejsce do znajomych, aby się podzielić święconem jajkiem, wysłuchać mnóstwa szczerych i takiej samej co najmniej ilości nieszczerych życzeń, zakąsić po nich szynką, babką i mazurkiem domowego pieczywa i popić kieliszkiem węgierskiego wina?...

Ale słyszę, czytelnicy, wasz okrzyk, przerywający mi dalsze wymienianie tego wszystkiego z czem mógłbym was zapoznać. Przerywacie mi odpowiedzią na moje pytania, która brzmi mniej więcej w ten sposób: Kronikarzu, rozgadałeś się zanadto o rzeczach, które wszyscy znamy równie dobrze jak ty sam a może i lepiej od ciebie, jeżeli chcesz nam opisywać święta to powiedz o nich coś nowego.

Niestety chciałbym to uczynić, aby was zadowolić, ale pomimo chęci nie zdołam.

Józefa Borkowskiego, które uważać należy za dalszy ciąg *Ziewonii*, drukował rozgłośną w owe czasy powieść swoję drugą: *Zemsta panny Urszuli*, i parę drobniejszych poezyi— a w *Albumie na korzyść pogorzelców* pod redakcyą tegoż Borkowskiego podał trzy większych rozmiarów poetyczne utwory: *Dwoje piastunek—Dramat w naturze, w trzech obrazach* i *Do Sióstr moich*.

Ile razy przybył do Lwowa, zaraz się u mnie zbierało całe nasze grono, gdzie na pogawędce mile czas przechodził. Wspólnie ze mną naciskał i przynaglał Józefa Dzierzkowskiego, aby ujął pióro i zaczął pisać.

Właśnie ukazała się już z pod prasy *Ziewonia*, kiedy Dzierzkowski ukończył pierwszą swą powieść p. n. *Płacz i Śmiech*, z życia domowego, która w *Pracach literackich* wydrukowaną została, a w pomienionym wyżej Albumie ogłosił dwie powieści *Bale na wsi—Jutro*, i obrazek *Leśniczy*.

Utwory te zwróciły uwagę na młodego powieściopisarza, który raz wszedłszy na drogę literackiego zawodu, pozostał mu wiernym do ostatnich chwil życia, świetne zdobywszy sobie stanowisko.

Bogaty w doświadczenie życia, gdyż bywał, jak to mówią, na koniu i pod koniem, znał dokładnie świat i ludzi. Głęboki ich obserwator, umiał pochwycić każdą wydatniejszą postać, zcharakteryzować dokładnie i nieraz po mistrzowsku malować w tak dosadnych rysach, że wiele powieści Dzierzkowskiego postawić możemy obok najlepszych w tym rodzaju utworów I. J. Kraszewskiego i Józefa Korzeniowskiego.

Szczególnym zbiegiem, trzech najznakomitszych powieściopisarzy obyczajowych nosi jedno imię Józefów.

(*D. c. n.*)

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE

od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Poprzestańmy jak na teraz na tych ulotnych wzmiankach o Władyboju, Ottonie i Mieszku, aby dosnuć opowieści o Poraitach szczegółami o trzecim członku tej rodziny, w Polsce dłużej jak jego bracia, i w innym charakterze jak oni bawiącym. Gdy tamci byli duchownemi, Sobiebór był człowiekiem świeckim i prawdopodobnie w Polsce się ożenił, i ród pozostawił, bo w długie później czasy słyną Porajowie, albo Różyce—mieniący się potomstwem czeskiego wychodźcy. Długosz wyraźnie w pierwszym naszej literatury herbarzu, liczy herb Poraj lub Róża do czeskich nabytków podobnie jak Okszę, Wieniawę, Rawicza, Kuszabę, Ogończyka, Odrowąża, Grabie, Pomiana, Przeginię, Stenberga..... a kronika rusko-litewska z XVI wieku wręcz nawet twierdzi, że „Lachowie wogóle niebyli (zrazu) szlachtą, ale ludźmi prostymi, ani herbów swoich niemieli, i wielkiemi dary dochodzili tego u Czechów, że im herbów swoich Czechowie użyczyli i szlachtą ich uczynili, i przyjęli ich w herby swoje."

Idąc w trop tych późnych źródeł niektórzy uczeni [1]) zaczęli dowodzić, że istotnie wraz z chrztem od Czechów przejęliśmy pojęcie rodowości i dziedzictwa obce pogaństwu słowiańskiemu, a i przez tychże samych Czechów zapożyczone od Niemców, czego dowodzić mają odnośne terminy techniczne: szlachta (ród, obecne geschlecht) i herb (erbe, dziedzictwo). Według tych badany, pierwotnie u nas jak i u innych szczepów istniejące wielożeństwo, niewytwarzało poczucia wspólności rodzinnej, solidarności uczuć i praw, jaki dopiero chrystyjanizm przyniósł. Dlatego też z istotą i nazwo przejąć mieli nasi przodkowie od pierwszych swych apostołów.

W takim razie, i nasz Sobiebór Poraita byłby jednym z szerzycieli zachodniej cywilizacyi w Polsce, byłby jednym ze „szlachty" herbowej najstarożytniejszej u nas. Zwyczajem też zachodniego rycerstwa, powinien by ziemię swą nosić w tarczy wymalowaną, a przynajmniej znak jej symboliczny: gałązkę, grudkę ziemi, roślinę... Róża herbowa Poraitów mogłaby uchodzić za takowy, jeśli cała powyższa teorya o szlachcie i herbach jest prawdziwą. Jakkolwiekbądź rzecz zresztą się ma z tą kwestyą, polski ród Porajów, bez względu na to że dotąd naprzykład na Podhalu karpackiem, są rody góralskie polskie noszące nazwę „Roje" (praefixem„ po" różne od Poraja) więc pomimo że mógł swe przezwisko wziąć od rojności, mnogości członków—jednakże wywodzi swój początek od czeskiego rodu Porajów, Różyców.

[1]) Szajnocha.

Ile się zdaje, głównie w sieradzkiem Porajowie przemieszkiwali, podzieleni na dwa konary. Koło Piotrkowa i Radomia wyglądają na przybylców, bo tu rozsiedli się przeważnie klejnotnicy Koźlerogi, albo Jelita. Za to na południu Sieradza Porajowie jedną masą zbitą w Podłężycach, Niechmierowie, Gniewięcinie, Pstrychkoniach,, miasteczku (od 1378) Bużeninie, przebywają. Długosz nawet już w wieku jedenastym ów Bużenin wspomina jako własność Porajów: z powodu jednak prześladowań jakich doznał od innych Różyców z Kurożwęk, możnaby sądzić łatwo, że cała wzmianka o Bużeninie i Porajach jest zemstą literacką Długosza na Kuroświęckich wymierzoną, za dokonane, przez nich w r 1461 spalenie jego domu w Krakowie. Ów bowiem historyk opowiada, w ciągu przygód ostatnich lat rządów Bolesława II Szczodrego, niezbyt pochlebne dla czci klejnotników z Bużecina szczegóły. Mianowicie, odmalowawszy gorącemi barwami kapuańskie leże wojsk Bolesławowych w Kijowie, też same uciechy zmysłowe każe Długosz Szczodremu przedłużać i za powrotem do Krakowa. Wszelako godna wagi, że jeszcze na dwa lata przedtem rozpasaniem się Bolesławu II moralnem, z jego rozkazu (wedle Długosza), zostanie porwaną, Bużenina, żona Młcisława, rycerskiego męża 1074 r. Długosz zowie ją Krystyną, a w rocznikach pod 1076 rokiem podane są urodziny Krystyna—być może jej dziecięcia. Niezapominajmy przytem, że żyła jeszcze małżonka Bolesława Szczodrego, Wisława księżniczka ruska, co niemało utrudnia wyjaśnienie tak biernej roli Mścisława Poraity z Bużenina, którego Długosz (trzeba wyznać) zupełnie w cieniu pozostawia, jakoteż stanowisko samej Krystyny u boku Szczodrego. Wszelako dałoby się ocalić to podanie dla dziejów, przypuszczając, że Długosz „córkę" przezwał żoną, gwoli tem większemu zohydzeniu Szczodrego (i Poraitów?) W tej hipotezie, fakt „dwużeństwa" odpowiada stwierdzonej kronikami polityce ludowo pogańskiej tego władcy; porwanie Poraitówny staje się zwykłą formą wesela pogańską, a wybór może dziewicy z rodu bużeninskich Różyców na drugą małżonkę przez Szczodrego, znajduje usprawiedliwienie w praktykowanej przed sto laty i kto wie czy niechowanej tradycyjnie jeszcze w XI wieku w rodzie biskupa Wojciecha zasadzie wielożeństwa.

(*D. c. n.*)

Święta tak są u nas podobne jedne do drugich, jak dwa egzemplarze jednej i tej samej książki, i różnią się tylko od siebie okładkami. Raz ta okładka bywa jasna i czysta i całej książce nadaje pozór jakiś uśmiechnięty i wesoły— to znowu okładka szarej lub brunatnej barwy smutnie wpada w oko... Taką właśnie szarą okładkę miały dla Warszawian tegoroczne święta Wielkanocne. Wszystko było podobnie jak w latach poprzednich tylko wszystko smutniej jakoś i gorzej... Nawet zabawy ludowe na placu Ujazdowskim nie przedstawiały zwykłego ożywienia, pomimo że tłumów nie brakowało, huśtawki były w ruchu, karuzele nie odpoczywały, a i na słupy mydłem posmarowane znaleźli się chętni amatorowie. W szopach maryonetki odgrywały efektowne sceny i dramaty, a poruszane zręczną ręką swego kierownika zdołały sobie zjednać uwagę wolenie licznie zebranej publiczności... W innych przybytkach domorośli akrobaci produkowali się, jak zwykle, ze swoją zręcznością wobec licznych widzów, którzy im nie szczędzili oznak swojego uznania... Były wreszcie inne jeszcze przybytki poświęcone czci Bachusa, w których nie mniej było gwarno i wesoło.

Wszystko więc było jak zwykle tylko humor zdawał się nam jakby trochę sztuczny a wesołość mniej szczera niż zwykle. Trudno się bowiem oddać całą duszą zabawie mając troskę o jutro... Zauważyliśmy jednak pewien pocieszający objaw; oto daleko mniej widzieliśmy pijanych niż się to zwykle zdarza w tego rodzaju okolicznościach. Nie zastanawiamy się w tej chwili nad tem, czy to zbawienny wpływ oświaty tak umoralniający wywarł skutek na niższe klasy naszego społeczeństwa, czy brały w tem udział i inne jakie postronne przyczyny— dość że fakt sam został stwierdzony— a fakt to tego rodzaju, iż najlepiej mówi sam za sobą.

Oprócz zwyczajnego obchodu świąt Wielkanocnych w ubiegłym tygodniu mieliśmy jeszcze dwa inne dni połączone z pewnemi oddawna, między ludem zwłaszcza, przechowującemi się zwyczajami.

Chcę tu mówić o drugim dniu świątecznym t. j. o tak zwanym szmigusie i o dniu pierwszym kwietnia, którego łacińska nazwa *prima-aprilis* dotąd się jeszcze przechowała. *Szmigus* czyli oblewanie się wodą lub wonnościami, wychodzi jakoś z użycia jak *klocki*, towarzyszące obchodowi popielcowej środy, z małą zresztą szkodą a ku ogólnej uciesze tych wszystkich, dla których jeden lub drugi z tych zwyczajów stał się kiedykolwiek przyczyną jakiej bądź nieprzyjemności. Zwyczaj zwodzenia się w dniu pierwszym kwietnia, jako mniej dokuczliwy utrzymuje się dotychczas i często kroć daje pole do bardzo zabawnych nieporozumień lub dowcipnych żartów.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

W czasie formowania się rzeczypospolitej Weneckiej, egzystowało już zgromadzenie narodowe zwane *arrengo* złożone z reprezentantów ludu bez ograniczenia liczby. Później po zabiciu doży Witalisa Micheli składało się ze 180 członków. Zdromadzenie to wybierało dożę i ono stanowiło w najważniejszych kwestyach państwowych. W r. 1172 nadano temu Zgromadzeniu nazwę: „Wielkiej Rady“ oznaczając liczbę jego członków na 450 do 500 wybieranych co rok przez sześć okręgów. Później członkowie mianowani byli dożywotnio i ze szlachty, gdyż nieszlachcic żadnego urzędu w rzeczypospolitej spełniać nie mógł o czem stanowczo przekonywają spisy urzędników i radców od najdawniejszych czasów. W spisach tych zawsze przed nazwiskiem znajdują się słowa: *vir nobilis*. Nie było tego jednak dosyć dla arystokracyi—nie chciano mieć intruzów w Wielkiej Radzie. Otóż posłuszny insynuacyom szlachty, Piotr Gradenigo doża, wypracował następujący projekt, dla tej instytucyi: aby lista osób należących po rok 1297 do Wielkiej Rady poddaną została pod rewizyą. Rady czterdziestu i ci tylko mieli być utrzymani którzy dwanaście uzyskają głosów. Nikt z familii, która poprzednio w Radzie Wielkiej nie zasiadała dopuszczonym już nigdy do niej być nie mógł. Było to utrwalenie systematu arystokratycznego dotąd egzystującego tylko *de facto*. Dekrety z r. 1298 i 1300 wzmocniły jeszcze ten systemat aż wreszcie w r. 1315 sformowaną została sławna *księga złota* w którą wpisano nazwiska tych tylko, których przodkowie w Radzie Wielkiej zasiadali i każdy szlachcic mający takie pochodzenie, kończąc lat 18 był wpisywanym do tej księgi przez notaryszów Wielkiej Rady, jako wybieralny. Wreszcie w r. 1319 zapadł dekret, mocą którego szlachta zapisana do złotej księgi po skończeniu lat 25, z samego prawa w Wielkiej Radzie zasiadać mogła. Od tej chwili datuje rzeczywiście Wenecka rzeczpospolita arystokratyczna, choć jak mówiłem faktycznie od samego zawiązku egzystowała jak dowodzą Sismondi Dandolo i Kardymał Bembo. Z francuskich pisarzy jeden Daru o ile wiem r. 1319 uznaje za datę zmiany rzeczypospolitej demokratycznej na arystokratyczną. Co do atrybucyi Wielkiej Rady to jeśli z początku, była ona prawie wszechwładną to następnie zakres jej władzy znacznie ograniczonym został—tak że w końcu jedynie wybór doży i najszersza kontrola spraw państwa do niej należały. Przywilej jednak Wielkiej Rady to stanowiło, że tylko z jej grona wybierać było wolno wszystkich urzędników i dożę i z tego powodu w niej był początek i koniec zarządu krajowego.

Właściwie cały kierunek rządu leżał w ręku Senatu. Początek tej instytucyi wywodzą od 60 radców *pregadi*, o których już wspomniałem. Następnie podniesiono liczbę senatorów do 120, wreszcie do 300. Senatorem mógł być tylko szlachcic czterdziestoletni wybrany przez Wielką Radę. Senatorów właściwie wybierano na rok jeden, lecz późniéj odnawianie wyborów, było tylko prostą formalnością i kto raz wszedł do senatu, umierał już jego członkiem. Z urzędu byli senatorami: 1-o doża jako prezydujący—2-o 9-ciu radców przybocznych— 3-o członkowie rady dziesięciu—4-o 3-ech awagadorów czynnych i trzech wychodzących (kontrolerowie państwa)—5-o 60-ciu senatorów wybranych przez Wielką Radę—6-o 40-tu członków Czterdziestki kryminalnej—7-o 60-ciu senatorów adjunktów dodawczo wybranych przez Wielką Radę — 8-o 13-tu dygnitarzy najwyższych urzędników—9-o 35-ciu aspcjentów z których trzydziestu z głosem doradczym—10-o ambasadorowie, którzy wrócili z poselstw—11-o byli Podestowie Werony, Vicenzy i Bergamu—12-o 16-tu uczonych z których dziesięciu z głosem doradczym.

Atrybucye Senatu były następujące: kierunek polityki państwa t. j. traktaty, wypowiedzenie wojny, nawet ustępstwa terytoryum, policya wewnętrzna—administracya finansów, bicie pieniędzy, zaciąganie pożyczek, rozpisanie podatków i zarząd dochodami. Senat przygotowywał projekta praw, które zatwierdzała Wielka Rada, mianował ambasadorów i przedstawiał na najwyższe posady kandydatów.

Ciało senatorskie wybierało z pośród siebie radę przyboczną doży. Była to jakby dzisiejsza komisya nieustająca, a składała się z 9-ciu członków t. j. z sześciu radców i trzech prezesów czterdziestki.

Obowiązkiem rady przybocznej zwanej: „La Signoria“ było załatwianie spraw nagłych, lub wymagających tajemnicy. Tam też najczęściej dyskutowały się plany wojenne.

Przechodzę teraz do dwóch instytucyi, które napełniły grozą całe państwo Weneckie a sobie zrobiły sławę z którą nawet Inkwizycyi świętej w Hiszpanii rywalizować trudno—to jest do Rady dziesięciu i Rady trzech.

W r. 1297 wybuchło w Wenecyi powstanie Tiepolego i Querinich, które uśmierzone zostało jedynie dzięki przytomności umysłu doży Gradenigo i szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że wojsko rzeczypospolitej znajdowało się na podwórku pałacu. Zatrwożeni patrycyusze postanowili, jak mówi Sismondi: „dla uprzedzenia spisków wichrzycieli dla zapewnienia bezpieczeństwa rządzącym, utworzyć i wydelegować z Wielkiej Rady, *Radę Dziesięciu* i nadać jej władzę najwyższą represyi i kary, na szlachtę, przeniewierców i zdrajców. Dano jej przytem pełne prawo, rozporządzania majątkiem skarbu, rozkazywania i działania zupełnie jak Wielka Rada w całym składzie ma do tego prawo. Ta władza specyalnie na spiskowych i zdrajców stanu postanowioną było początkowo tylko na miesięcy dwa.

Przetrwała ona od roku 1297 do końca Rzeczypospolitej a w roku 1356 została uznana za *concordiae et quietis publicae tenacissimum vinculum*, „zgody i spokoju publicznego węzeł najsilniejszy.“ Składała się rada dziesięciu, z dziesięciu członków wybranych z Wielkiej Rady z doży i sześciu jego radców a zatem właściwie z osób siedemnastu. Oto co pisze o niej Galiberti:

„Rada dziesięciu zaraz od swego powstania uchwyciła ster rządu rzeczypospolitej;ześrodkowała wszelkie zarządy dotąd rostrzelonie; zcentralizowała władzę państwa i nadała siłę olbrzymią działaniom rządu. Przez cały czas swego istnienia Rada dziesięciu rozwinęła czujność, której nikt nigdy nie omylił i jej zamiary przyobleczone były najściślejszą tajemnicą, żeby zaś zapewnić ich spełnienie używano środków najenergiczniejszych, ze stałością niewzruszoną. Ona sprawiła rozszerzenie ogromne panowania rzeczypospolitej, lecz własną nieuczciwością, brakiem zaufania i zdradą, w nienawiść ją u innych narodów podała; utrzymała spokojność wewnętrzną; wstrzymywała i uprzedzała na czas wszelkie spiski, wreszcie dość zręczną była, aby zażegnać wszelkie burze, które przeciw jej despotyzmowi podniecono.“

Rzeczywiście Rada dziesięciu z upływem czasu całą władzę zagarnęła w swoje ręce a najlepszy dowód tego dała w krótkim czasie wyrokiem na Marina Falierigo wydanym. W dziejach Wenecyi znajdujemy wypadek, że rada dziesięciu pozwalała sobie wbrew woli Senatu nawet traktaty zawierać i następnie Rada Wielka je zatwierdzała, bo i jak walczyć z władzą tajemną, która ma szubienice, zbirów, kanał Orfano, ołowianki i studnie na rozkazy. I tego jednak nie dosyć było dla ambitnych widoków arystokracyi rzeczypospolitej. Rada dziesięciu była złożoną z 17-tu osób, to za wiele aby utrzymać tajemnicę i działać z odpowiedzią sprężystością. Zresztą do Rady dziesięciu należał Doża i prezydował w niej a i jego trzeba było kontrolować sądzić i karać, wymyślono zatem coś nowego: *Radę Trzech*.

(*D. c. n.*)

O DESZCZU

i

pokrewnych mu zjawiskach.

(Ciąg dalszy).

Wysokość, w której się chmury unoszą, bardzo jest rozmaitą; są chmury, zwłaszcza pędzone przez burze, które się oślizgują po szczytach budynków i drzew, inne bujają w wysokości kilkuset metrów, inne nakoniec przesuwają się w wysokościach, których człowiek nigdy jeszcze nie dosięgnął, ponad szczytami najwyższych gór a żeglarze napowietrzni, którzy się najwyżej wznieśli, widzieli jeszcze chmury unoszące się ponad swemi głowami. Astronmia podaje sposoby mierzenia odległości brył od ziemi oddalonych, też same sposoby zastosowywano nieraz do wymierzania wysokości różnych chmur; Liais, który dokonał wiele podobnych oznaczeń, znalazł, że najwyżej wzniesiona chmura ze wszystkich, które mierzył, była na wysokości 11,540 metrów, t. j. około 40,000 stóp, przewyższającej zatem o wiele najwyższe ziemskie góry.

Grubość chmur równie jest rozmaitą, jak wysokość, w której się pary skraplają. Jedne są tak cieńkie, że przepuszczają światło gwiazd, inne znów stanowią warstwy istnie potężne; Barral, Bixio którzy się kilkakrotnie wznosili balonem w celach naukowych, przebywali chmurę grubą na 5,000 metrów. Bardzo też często, zwłaszcza przy powietrzu spokojnem, chmury unoszą się jedne nad drugiemi, tworząc warstwy poprzedzielane czystem powietrzem. Tłómaczy się to w ten sposób, że chmura raz utworzona w pewnej wysokości, tworzy niejako zbiorowisko wody, które jest nowem źródłem wywiązywania się pary; górne warstwy takiej chmury dolnej ulatniają się pod wpływem ciepła słonecznego i wydają parę, która skraplając się znów w wyższych, zimniejszych warstwach atmosfery daje początek nowemu pokładowi chmury, który w podobny sposób może być źródłem dla trzeciej ich warstwy.

Pomimo licznych i zmiennych kształtów chmur starano się podzielić je na pewne grupy — nazwano je pierzastemi, kłębiastemi, warstwowemi, deszczowemi, dodano następnie inne ich kategorye, a w ostatnich czasach znów je inaczej poznaczano, ale brak

czasu nie pozwala nam bliżej zastanowić się nad temi podziałami.

Gdy chmura stopniowo coraz się bardziej zagęszcza, powstaje deszcz. Drobne pęcherzyki mgły łączą się najpierw w krople bardzo małe, rzucane na wszystkie strony, jak to dostrzegamy często w czasie gęstej mgły; gdy w dolinie pada silny deszcz, to w miarę jak się zbliżamy ku chmurze, krople deszczu stają się coraz mniejsze, a w pobliżu chmury już tylko mży.

Jeżeli swobodnie bujająca chmura zaczyna zsyłać deszcz, to pierwsze drobne kropelki opuszczając się z niej, przechodzą w niższe warstwy atmosfery, które jeszcze nie są wilgocią napojone, i tam się znów ulatniają, tak że deszcz pada tylko w wyższych warstwach atmosfery, a do samej ziemi nie dochodzi, Zwolna dopiero deszcz zstępuje do warstw coraz niższych, w miarę jak się atmosfera nasyca parą wodną. Na chmurach oddalonych, które zaczynają wysyłać deszcz, widzimy wyraźnie, jak owe charakterystyczne smugi deszczowe coraz się bardziej obniżają. Gdy nakoniec dolne warstwy atmosfery są już bliskie swego nasycenia, to spadające kropelki wodne się powiększają—już przez to że na swej drodze napotykają inne kropelki lub pęcherzyki i z niemi się łączą—już przez to, że zimna ich powierzchnia zagęszcza na sobie parę wodną niższych, cieplejszych warstw powietrza, i drobne kropelki stają się istotnemi kroplami deszczowemi. Stąd to pochodzi, że ilość wody spadłej z deszczem w pewnej wysokości nad ziemią, na górze na lub nawet na wysokiej wieży, okazuje się mniejszą niż u samej ziemi, Wielkość zresztą kropel deszczu bardzo jest różną w różnych miejscach i różnych porach roku. Deszcze letnie składają się z wielkich kropel, które z trzaskiem padają; gdy gwałtowność ich wzrasta, powstaje tak zwane oberwanie chmury; deszcz wtedy pada w smugach, jakby woda przelewana przez sito. Deszcze natomiast wiosenne i jesienne złożone są z kropelek drobnych, spadających cicho, bez szumu.

Ważną w ogóle jest rzeczą oznaczenie ilości wody spadłej z deszczem. Służą do tego przyrządy bardzo proste, rozmaitego zresztą urządzenia, zwane deszczomierzami, ombrometrami, pluwiometrami, udometrami, hyetometrami. Najpowszechniej używanym deszczomierzem jest naczynie walcowe, blaszane, w które wpada bezpośrednio woda deszczowa. Dla uchronienia jednak tej wody od ulotnienia naczynie nie jest otwartem, a zamknięte pokrywą lejkowatą, mającą we środku otwór, którym się woda deszczowa dostaje do wnętrza. Za pomocą pewnych dodatkowych urządzeń można dokładnie zmierzyć wysokość słupa wody zebranej w ten sposób w naczyniu. Oczywiście, gdyby w podobny sposób mogła być zebraną wszystka woda z tego deszczu pochodząca, t. j. gdyby nigdzie nie wsiąkała w ziemię, gdyby nie spływała i nie ulatniała się, woda na całej przestrzeni zajętej deszczem, stałaby na tej samej wysokości, co w owem naczyni; u deszczomierz mierzy przeto wysokość wody spadłej z deszczem, czyli oznacza ilość wody spływającej z atmosfery. Ilość ta wody jest różną w różnych miejscach, w różnych porach roku i w różnych latach.

Największą ilość wody doprowadzają deszcze w okolicach zwrotnikowych. Z powodu silnego gorąca tam panującego, unosi się z mórz tamecznych ogromna ilość pary, która skraplając się, tworzy istne potoki; tam rzeczywistą staje się prawdą porównanie u nas używane—deszcz leje jak z cebra, tam niepadają już krople, ale spływają istne prądy wodne. Tak opowiada Dampier: „Gdyśmy odwiedzili wysepkę La Gorgonie, przyrządziliśmy sobie czekoladę, którą pić musieliśmy stojąc na deszczu. Deszcz padał tak ulewny i tak gwałtownie wypełniał nasze naczynia, że jakkolwiek ciągle piliśmy czekoladę pomięszaną z wodą deszczową, naczynia nasze pozostawały zawsze do połowy pełne, a niektórzy przysięgali, że niepodobna było tyle wypić, ile z deszczem spływało.“ Tschudi był także świadkiem podobnie straszliwego deszczu w pewnej wiosce Ameryki południowej. W mieszkaniu jego nie było suchego miejsca; deszcz wdzierał się przez dach, a woda wypływała przez drzwi, mieszkańcy wioski obawiali się zagłady swych siedzib i z przerażeniem wyglądali co chwila końca tej sztraszliwej igraszki przyrody, która trwała od godziny czwartej aż do północy.

Najulewniejsze na ziemi deszcze dotąd zaobserwowane, według sławnego podróżnika Schlagintweita, mają miejsce w stacyi Cherra Punii położonej na stoku gór Khassia na wyżynie śródazyatyckiej. Według kilkoletnich obserwacyi, ilość wody spadłej tam rocznie wynosi 600—620 cali. Ogrom ten wody spływającej z atmosfery pojmiemy, gdy zestawimy go z deszczami naszemi; Warszawie np. średnia ilość wody deszczowej wynosi rocznie 17 cali; Nadto w okolicach tamecznych deszcze nie padają jednostajnie przez cały rok, jak u nas, ale pora deszczowa przypada tam od połowy Maja do końca Sierpnia. Zresztą i w klimacie naszym deszcze nie są zupełnie jednostajnie rozdzielone pomiędzy wszystkie miesiące roku. Warszawa np. ma w zimie, od grudnia do lutego 3, na wiosnę 4, w lecie 7, w jesieni 3 cale deszczu, z tych liczb wypada, że najwięcej wody deszczowej spada u nas w miesiącach letnich —znajdujemy się bowiem w strefie deszczów letnich. Europa natomiast południowa i Afryka północna posiadają przeważnie deszcze zimowe, na wybrzeżach zachodnich Francyi, Anglii i Norwegii najulewniejszemi są deszcze jesienne.

Nie możemy dzisiaj bliżej wchodzić w przyczyny, które wywołują rozmaity rozkład deszczów w różnych miejscach ziemi. Wspomnimy tu tylko, że na spadek deszczów mają wpływ różne, czysto miejscowe okoliczności. Nader dobroczynnym jest wpływ lasów. Lasy wstrzymują zbyt szybki odpływ wody deszczowej ku morzu, a tem samem chronią od wszelkich zalewów, z drugiej strony, pochłaniają znaczne ilości wody, tak że tworzą niejako bogate zbiorniki wody śródlądowej, która za pośrednictwem drzew szybko się ulatnia, zasila atmosferę parą wodną i sprowadza deszcz.

W miarę wycinania lasów w pewnej okolicy zrywa się jednostajność w rozkładzie deszczów, po gwałtownych ulewach następują długotrwałe susze, a urodzajność kraju zwolna ginie. Tak to wskutek wytrzebienia lasów Azya mniejsza, Grecya, Afryka płn., Włochy, Francya płd. nie są już równie żyznemi jak niegdyś gdy natomiast Egipt niższy, odkąt Ibrahim pasza zaprowadził tam uprawę lasów, ma więcej deszczu niż poprzednio. Smutne są to uwagi dla nas, którzy musimy być bezustannymi świadkami, jak marnotrawcy i świętokradzka spekulanta ręka, kraj nasz otwarty i płaski, pozbawia tych jedynych osłon, chroniących go od wyjałowienia i od strasznych klęsk.

Woda jednak z atmosfery nie zawsze spływa w postaci ciekłej, w postaci deszczu; może ona też dostawać się na ziemię w stanie stałym, zmarzniętym t. j. w postaci lodu. Jakeśmy to już wspomnieli, w wyższych, bardzo zimnych warstwach atmosfery, chmury nie składają się już z pęcherzyków wodnych, ale z drobniutkich igiełek lodowych. Dnia 23 lipca 1850 r. Borral i Bixio w podróży napowietrznej dostali się w chmurę na 4 mniej więcej wiorsty grubą, której górne części utworzone były z igiełek looowych, a jakkolwiek to było w pośrodku lata, temperatura tam była znacznie niższą od zera, a na górnej granicy chmury dochodziła nawet do—39°, tak że już tam marzła rtęć w termometrze. Jeżeli dolne warstwy powietrza są ogrzane, to igiełki lodowe topią się podczas spadania, tak, że na dole pada deszcz, gdy w górze pada śnieg. Jeżeli jednak i dolne warstwy powietrza są dostatecznie zimne, to śnieg pada aż do powierzchni ziemi, a zmarznięty grunt pokrywa się śnieżnobiałą powłoką.

Jeżeli śnieg pada nie zbyt obficie, a powietrze jest spokojne, cienkie kryształki lodowe łączą się w gwiazdki bardzo drobne, posiadające godną uwagi prawidłowość. Zasadniczą postacią jest wszędzie sześciokąt lub gwiazda sześciopromienna; obok głównych promieni układają się drobne igiełki pod kątem 60° i nadają im postać najdelikatniejszych piórek. Kształty te płatków śnieżnych rozpatrują się szkłem powiększającem na czarnej powierzchni. Scoresby, który najwięcej zajmował się tym przedmiotem, podaje przeszło 100 różnych tych postaci.

Jeżeli jednak śnieg pada obficie, gwiazdki łączą się między sobą i tworzą dosyć wielkie kłaczki śnieżne. Na wiosnę często igiełki śnieżne w chmurach pędzonych wichrem zbijają się w kulki, które nazywamy krupkami.

Ilość spadłego śniegu mierzy się także za pomocą deszczomierza, z którego tylko usuwamy górną przykrywę, następnie mierzymy wysokość słupa wody, powstałego ze stopionego śniegu i dodajemy do ilości wody deszczowej spadającej w ciągu roku.

Warstwa śnieżna, pokrywająca ziemię, ma bardzo ważne znaczenie dla życia roślinnego ogrzewa ona bowiem niejako ziemię, a raczej nie pozwala jej zanadto się ziębić, raz dlatego, że śnieg posiada w bardzo słabym stopniu zdolność wysyłania ciepła, a powtóre dlatego, że jest bardzo mało przecieplającym, t. j. nie przepuszcza przez siebie ciepła. Powłoka utkana z kłaczków śnieżnych utrzymuje zasiewy w dostatecznem cieple i nie pozwala im marznąć. Nawet przy najsilniejszym zimnie, grunt tuż pod śniegiem posiada temperaturę nie wiele niższą od 0, a o kilka centymetrów pod powierzchnią, nawet wyższą od zera. Na Alpach, gdzie śnieg leży bez przerwy przez 8 do 10 miesięcy w ciągu roku, natychmiast po jego stopnieniu grunt pokrywa się bujną trawą. przetkaną wielkiemi i wonnemi kwiatami. Rośliny te zaczęły się już rozwijać pod śniegiem i już wtedy wypuściły pierwsze swe pędy; śnieg je chronił od zmarznięcia, a zwłaszcza od gwałtownych zmian temparatury, które dla ich delikatnych tkanek są tak szkodliwe.

Inną, niezmiernie ciekawą postacią, w jakiej się woda z atmosfery dostaje na ziemię, jest grad; atoli powstawanie jego, niedostatecznie zresztą dotąd zbadane, łączy się z szeregiem innych zjawisk, których ogół stanowi burzę, a których rozważanie wychodzi po za granice, jakieśmy sobie tutaj zakreślili.

(*D. n.*)

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

Ogrodniczka bierze od niego oba te przedmioty i rzuca je na podłogę— dziecię usiłuję po odgłosie poznać który z nich został rzucony.

Widzimy zatem, że w tej jednej grze, rozwijają się zmysły słuchu, i dotykania. Gdy już wszystkie dzieci spróbują tej gry, ogrodniczka przechodzi do innej. Naprzykład, pokazuje im czworokątny kawał drzewa i tłómaczy, jaka jest różnica pomiędzy nim a okrągłą kulą; dzieci powtarzają za nią nazwy i oznaczenia różnicy, w końcu tłómaczą ją swoim własnym sposobem, na ostatek, usiłują wynaleść podobieństwo jakiekolwiek z przedmiotami, znajdującemi się w sali.

Skończywszy to zajęcie, dzieci wychodzą do ogródka. Młodsze dostają rozmaite kawałki drzewa, które dobierają podług numerów, starsze budują domy z małych pudełek. Gra ta jest bardzo zajmującą— i mali pracownicy dają często dowód wielkiej wytrwałości, przestawiając bezustannie to, co źle położyli i naśladując sposób budowania używany przez starszych.

W tej grze, dzieci uczą się poznawać linie proste, rozmaite kąty, słowem pierwsze figury geometryczne, co później dla chłopców uczących się geometryi nadzwyczaj jest pożytecznem.

Formy te, nazywa Froebel, formami pierwotnemi, podług których dziecię z łatwością uczy się poznawać następne.

Zapomocą kilku pałeczek uczą się dzieci układać: stół, dom, ogród, budują w końcu kolej żelazną. Wprawdzie zdarza się, że dziecko zbuduje coś tak dziwnego, iż nikt się nie domyśli, coby to oznaczać miało, zawsze jednak widać, że dziecię stara się pracować, i o ile mu zręczność i wyobraźnia w tem pomagają, usiłuje stwarzać zawsze co nowego.

Młodsze dzieci zajmują się przez ten czas skubaniem wełny lub waty na pościel dla lalek, kopią i sieją na grządkach, wycinają rozmaite figury z papieru, jednem słowem, bawią się jak im się podoba. I tu ogrodniczka ma obszerne pole do badania i zastanawiania się nad zdolnościami każdego dziecka.

Czy nadszedł już czas, do zaprzestania tak przyjemnej zabawy? Wprawdzie już pora na drugie śniadanie, ale dziatki głodu nie czują. Każde z nich jeszcze ma coś ładnego do zbudowania, a tu ciocia każe składać przybory budownicze!

Ale nic nie pomoże, ciocia Rózia pilnuje porządku. Każde dziecko musi na miejscu swoje przyrządy ustawić, gdyż nieporządne dziecko nie może jeść śniadania. Później, przyniesione z jedzeniem koszyczki są rozdane pomiędzy to całe małe towarzystwo.

Dzieci jedzą z apetytem i znów wychodzą do ogródka.

Tu dopiero zaczynają się skoki i bieganie po dwugodzinnem siedzeniu! Ogrodniczka daje tylko nadzór, a dzieci teraz same się bawią. Skaczą, biegają lub siedzą na piasku. Te z nich, które się zajmują ogrodnictwem opatrują świeżo założone grządki, przyglądają się pilnie każdej świeżo wyrastającej trawce i listkowi.

W drugim końcu ogrodu zebrało się znowu grono małych dziewcząt, wzięły się za ręce i tańczą przyśpiewując. Wtem daje się słyszeć głos cioci: „Już zapewne wszyscyście skończyli śniadanie, chodźcie więc do mnie!“ Idzieci zbiegają się na głos cioci Rózi, otaczają ją, ona zaś ustawia je w jedno wielkie koło, pilnując, ażeby każde stało równo, z główką do góry, ażeby się ładnie za rączki trzymały. Wtedy ogrodniczka pyta się w coby dzieci grać chciały—i wybiera jednę grę, jak naprzykład: „*Chcecie wiedzieć jak chłop sieje pszenicę?*“ Tańcząc w koło, śpiewają dzieci piosnkę, o chłopie siejącym pszenicę—żnącym ją—młócącym, w końcu, powracają chłopi z roboty, cieszą się że pszenica w stodole, zbierają się na dziedziniec chałupy, tańczą, w końcu idą na spoczynek. Wszystkie te roboty dramatycznie, z giestami są przedstawiane, członki dzieci poruszają się w takt ze śpiewem, słuch i głos jednocześnie się rozwijają, i razem przedstawiając roboty polowe, obznajmiają się z niemi, i nie zapominają ich tak prędko.

Drugą grą, nie mniej zajmującą, jest „Stój jeźdźcze, twój koń nie może iść dalej!“ Przypatrzmy się jej bliżej.

Najprzód, dwóch najroztropniejszych chłopców, przedstawiają konia i jeźdźca; w jednym kącie, siedzą dwie dziewczynki, z których jedna, przedstawia szynkarkę, druga zaś dziewczynkę do posługi, której obowiązkiem jest nalewać gościowi piwo. W drugim kącie stoi kowal ze swym pomocnikiem; na środku stoje poborca cła, i dwóch najwyższych chłopców przedstawiających bramę wjazdową—a w końcu, ostatni kąt przeznacza się na stajnię.

Reszta dzieci, stojąc opodal śpiewa chórem tekst, tego dramatycznego przedstawienia.

Otóż i zaczynają: Koń i jeździec zaczynają się powoli poruszać, chór śpiewa:

„Stój, stój, panie jeźdźcze, jego koń dalej iść [nie może;
„Zdaje mi się, że zmęczony, dlategoż wje-[żdżaj do gospody.
„Daj konikowi świeżego siana, sam też wypij [trochę na pociechę!“

Oba wjeżdżają do karczmy, gosposia karmi konia, a służąca podaje jeźdźcowi trunek ochładzający. Chór znowu śpiewając dodaje mu odwagi do dalszej jazdy, i w takt za odjeżdżającym śpiewa:

„Tak, tak, panie jeźdźcze, możesz teraz ru-[szać dalej!“

Ale niestety, zaraz, musi się znowu zatrzymać, a chór wyśpiewuje:

„Stój, panie jeźdźcze, jego koń iść dalej nie [chce,
„Jego koń potrzebuje podkowy, tu kuźnia [wejść do niej proszę;
„Trzy gwoździe, są potrzebne, niech je maj-[ster sám wbije!“

I mali kowale, dopełniają swej roboty i trap, trap, jadą dalej; ale przed bramą znowu się zatrzymują:

„Stój, stój koniku, dalej ani kroku,
„Tu miasto, i brama, i cło się wprzód płaci,
„Trzy grosze prosimy, a nie, to pójdziesz na [odwach!

On płaci, brama się otwiera i jeździec wjeżdża, a chór śpiewa:

„Tak, tak, panie jeźdźcze, ruszaj sobie da-[lej!“

On odjeżdża, i powraca do domu:

„Stój, stój panie jeźdźcze, wprowadź konia [do stajni,
„Jużeś powrócił, a dziatkom cóżeś przy-[wiózł?
„O tak, o nas myślał, i cóś ładnego nam [przywiózł!
„Dziękujemy panie jeźdźcze, teraz dalej je-[chać nie możesz!“

Jeździec odprowadza konia do stajni, wraca i rozdziela rozmaite podarunki towarzyszom. Gra ta rozpoczyna się na nowo, i tak dalej, dopóki, wszystkie dzieci udziału w niej nie wezmą.

„Biedny zajączku, czyś chory,“ jest też grą zajmującą, ulubioną przez dzieci. Jedno z nich siada w kole, trzymając ręce nad głową, w kształcie uszu, głowę zaś ma spuszczoną, dlatego że chory, ale go leczą, i wtedy zaczyna skakać, i biegać w kole, w takt za śpiewką, którą wszystkie dzieci, chórem powtarzają.

Gra ta jest podwójnie pożyteczną; najprzód, wprawia dzieci w rozmaite ćwiczenia gimnastyczne, a potem przyzwyczaja, słuch do muzyki, w takt za którą muszą skakać i biegać.

I inne gry, podobne do wyżej wymienionych, a które zarazem bawią, rozwijają pojęcie o stworzeniach które przedstawiają, wprawiają ucho dziecinne do muzyki, i taktowego rozmiaru. Nim je przedstawiać zaczynają, ogrodniczka tłómaczy dzieciom, cel i znaczenie zabawy, uczy jej wprzód słowami, później zastosowywa do nich jaką łatwą melodyą, a w końcu, jak się przekona że dzieci doskonale ją pojęły, wtedy zaczyna je wprawiać w rzeczywistą grę.

Niektóre gry, mają tylko na celu rozwijanie zmysłów, naprzykład dziatki trzymając się za ręce tworzą koło a w środku jeden z ich towarzyszy, z zawiązanemi oczyma, musi przez dotykanie rozpoznawać przedmioty, które mu drudzy dają w rękę, a przez słuch, rozpoznać po głosie swych towarzyszy.

Inne znowu gry mają na celu przyzwyczajanie dzieci, do uwagi i cichości, zatem do panowania nae sobą.

Widzimy, że ogródek Froeblowski, moralnie też wpływa na umysły dziecinne. Oprócz wielkiej swobody zostawionej dzieciom w zabawach, tak ogrodniczka, jak i one, muszą się trzymać pewnej rutyny, pewnych prawideł i porządku. Jednej gry się nie uczą, bez dokładnego pojęcia poprzedniej. Do tego starsi muszą się opiekować młódszemi towarzyszami, muszą im tłomaczyć porządek gier, pokazywać jak mają się brać do siania nasion, do okopywania grządek, pomagają im układać kawałki drzewa w rozmaite kształty, i tym podobnie. Egoizm i wynoszenie się nad drugich są w ogródku nieznane, gdyż w przeciągu tych kilku godzin, wszystkie dzieci są równe, tu nikt nie myśli o wyższem lub niższem stanowisku, o majątku, lub arystokratycznem pochodzeniu. Ogródek dziecinny nie zna kar, i jeżeli się znajdzie, pomiędzy towarzystwem, jaki członek kapryśny lub złośliwy, ten wyłączonym zostaje z gry.

A teraz podczas, gdy się zastanawiamy nad korzyściami osiągniętemi z podobnego ogródka, dzwon daje się słyszeć; rodzice, niańki i bony przychodzą po dzieci, które smutnie przerywają tak miłą zabawę—wcale się nie zmęczyły, i miałyby ochotę dłużej pozostać, ale porządek tego wymaga; dzieci śpiewają chórem piosnkę pożegnalną, ściskają się na pożegnanie, podają rączkę cioci, i wybiegają z ogródka, szczęśliwe, że tak wesoło dzień przepędziły, i przyrzekając sobie więcej jeszcze przyjemności, na dzień jutrzejszy.

Czy pójdziemy za niemi? o nie! wprzód wstąpimy do wnętrza, tego raju dziecinnego obejrzymy dokładnie, wszystko co w sobie zawiera. Najprzód widzimy dużą salę—starannie oświetloną—ławki są niskie i wygodne, gdyż dzieci muszą wygodnie siedzieć, i niemieć nigdy skrępowanych ruchow. W sali oprócz ławek, z pulpitami nakształt szkolnych, znajduje się krzesło dla ogrodniczki, siedzenia dla osób przychodzących odwiedzać zakład, szafka gdzie się mieszczą ubrania dziecinne, umywalnia z miednicą i mydłem, do umycia rączek, dzban z wodą i ręczniki. Wieszadła nisko poprzy-

bijane dozwalają starszym dzieciom dostawać swoje wierzchnie ubranie, młodszym zaś dopomaga służąca, pilnująca porządku w sali i ogródku. Wejdźmy do niego; oto plac obszerny wysypany suchym piaskiem, na którym dzieci bawią się w gry. Letnią porą przykryty on jest płóciennym dachem. Dalej, klomby, wysadzone, krzewami bzu, jaśminu, dzikich róż i t. p.; około nich ławeczki darniowe dla spoczynku. W jednym kącie ogródka są grządki z kwiatami i trawą, zasianą i pielęgnowaną przez starsze dzieci, dalej mały ogródek owocowy, warzywny i kwiatowy; nad każdą rośliną przybita blaszka, z wymienieniem jej nazwiska, daje dzieciom pojęcie o botanice.

Jednem słowem widzimy, że w ogródku Froeblowskim, o niczem nie zapomniano, co tylko mogłoby służyć ku pożytkowi dzieci i ku ich zabawie. Za salą, znajduje się pokój dla ogrodniczki, i drugi dla służącej.

(*D. c. n.*)

SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

III.

Wizyta na wsi tak jest niepodobną do wizyty w mieście, jak wieś niepodobną jest do miasta.

W mieście przyjeżdżasz przed kamienicę, i nikt niezauważy nawet przybycia twego ekwipażu — dzwonisz — otwierają ci, wchodzisz, i albo jesteś przyjęty osobiście, albo też obowiązki gościa przelewasz na kartkę wizytową, załamawszy jeden jej rożek.

Na wsi zupełnie co innego.

Skoro bryka lub powóz wyjedzie z lasu na wzgórek, jest już przedmiotem obserwacyi trzech małych gapiów, którzy pasąc rogaty lub nierogaty inwentarz przypatrują ci się zdaleka, dzieląc się pomiędzy sobą wrażeniami, jakie na nich sprawia żółty kolor bryczki, lub czerwona kierezya woźnicy.

Wjeżdżasz do wsi, musisz przejechać koło młyna i nie ujdziesz bystrego oka arendarza, który natychmiast z zadziwiającą biegłością i wprawą, oceni wartość twoich koni, bryczki, zaprzęgów, tłomoka, garderoby, i obliczy z fizjonomji maximum kredytu, jakim ci może usłużyć w razie potrzeby.

Nawiasem powiedziawszy, pachciarze i arendarze wiejscy, są to znakomici fizyonomiści— nie czytali oni co prawda Lavatera ani Galla, ale wielu z nich na twarzy szlachcica widzi wykaz hypoteczny jego majątku. Zdawałoby się, że ciężary, zobowiązania i służebności ryją jakieś tajemnicze znaki na obliczu hreczkosieja, hieroglify dla wszystkich nieodgadnione, ale dla pachciarzy i arendarzy widoczne.

Na drugi dzień, w czterech najbliższych miasteczkach, gminy izraelskie wiedzą do kogo przyjechałeś, po co, jaki masz interes, a jeżeli posiadasz prawną ćwikcyą, to możesz być pewnym, że zawiązane zostały cztery spółki, celem pożyczenia ci pieniędzy, lub co na jedno wynosi, celem kupna zboża, któregoś jeszcze nie zasiał.

Minąwszy ten punkt obserwacyjny, jesteś już we wsi. Trzeba Wam wiedzieć, że każda wiejska ulica nie byłaby ulicą, gdyby nie miała na sobie łokciowego pokładu błota, tyle razy garnirowanego sosnową faszyną, ile razy jaka znakomitość z powiatu bywa spodziewaną. Każdy chłop jadący z ciężarem, przejedzie szczęśliwie wszystkie groble i mostki, ale uwiąźnie w błocie przed własną chałupą, a dopiero przebrnąwszy tę ostatnią trudność, może sobie z dumą powiedzieć „*si finis bonus, laudabile totum*, ale ponieważ cywilizacya nie doszła jeszcze do tego, żeby chłop z Podlasia miał mówić po łacinie, przeto właściciel wozu wybrnąwszy z błota, ogranicza się tylko na dobitnej i dosadnej klątwie mazurskiej, co w rezultacie prawie to samo oznacza co i łacińskie przysłowie.

Dla tych to przyczyn, ekwipaż twój nie może się przesunąć z szybkością ścigającego wiatry pustyni farysa—ale raczej, zmuszony jest toczyć się majestatycznie i powoli, jak wóz tryumfatora, a ty wraz z woźnicą, kiwasz się na wszystkie strony, irytując gromadę psów, która z głośnem szczekaniem odprowadza cię aż do końca wsi.

Wreszcie wydobyłeś się na szeroką lipami wysadzoną aleję, twój Bartłomiej lub Maciej zbiera krótko lejce, pali z bata dwa razy, a zacinając zlekka lejcowe konie, nadaje im pewną ruchliwość i fantazję, puszcza w lancady, znów *strzela* z bata i wyciąga dobrym kłusem, aby je potem z techniczną znajomością fachu, na miejscu przededworem *osadzić*.

Mały Kuba, jeden z licznych potomków kucharza, nie mając nic lepszego do roboty, bawił się z psem nieopodal od dworu na środku gościńca, skoro cię spostrzegł, zrywa się z piasku, i puszcza pędem wołając „ktoś jedzie“ zasmolona Magda karmiąca przed kuchnią indyki, podchwytuje ten sygnał i biegnąc ku dworowi woła znowuż: ktoś jedzie!

Słyszy to siedząca w oknie panienka, i klaszcząc w ręce, wpada do pokoju siostrzyczek powtarzając to samo.

Wreszcie psy wybiegają przed wrota, i z głośnem ujadaniem biegną przy bryczce, powiększając wrzawę i zamięszanie ogólne.

Gospodarz domu oczekuje na ganku, ekwipaż wjeżdża na dziedziniec, jeszcze dwa wystrzały z bata, Bartłomiej osadza przed gankiem, a kury, kaczki, indyki i prosięta używające przechadzki po dziedzińcu, umykają w różne strony ku wielkiemu zdumieniu cielęcia, które obserwując tę wędrówkę zwierząt, apatycznie spogląda w koło siebie, jak gdyby chciało powiedzieć „*vanitas vanitatis et omnia vanitas....*“

Nie inaczej przyjmowano u państwa Chojnowskich, a przyjmowano tem serdeczniej, że gość przybyły czwórką spienionych dereszów, byłto ukochany, dawno oczekiwany brat pani Markowej, pan kapitan walecznej armji Austryackiej, Władysław Pomian Jskrzycki.

Całował go też pan Marek w oba policzki, koląc niemiłosiernie od tygodnia niegoloną brodą, ściskała pani Markowa, przytulając do piersi siostrzanej, cmokały po rękach dziewczęta i chłopcy, witając ukochanego wujaszka co dobre cukierki przywozi, i zawsze jak z puszki Pandory rozmaite osobliwości i zabawki z tłomoka wydobywa.

— Hej Onufry! wołał pan Marek, głosem dochodzącym do stajni przynajmniej o trzysta kroków odległej; Onufry, a wziąć tam do stajni konie pana kapitana—pójść do Jacentego do stodoły, niech przyjdzie po klucze—obrok wydać! — a ty Krakowiaku, dodał zwracając się do woźnicy pana Kapitana, przyjdziesz do kuchni, żeby ci jeść dali.

— Słucham jaśnie Panie, odpowiedział woźnica.

— Słuch-a a a m! odzywał się ze stajni głos Onufrego, a wołanie to przypominało wyszłe dziś z użycia sygnały szyldwachów, lub nawoływania w lesie podczas obławy.

Potem pan Marek znów całował szwagierka.

— A mój drogi, jedyny, kochany; i znów przerywając to wylanie uczuć braterskich, zwracał się do służby, krzycząc:

— Magda, biegaj po kucharza... a mój Władysiu jedyny.., Maciek, a znosić rzeczy, gamoniu jakiś!

Opuśćmy tę scenę rozrzewnienia, niech ją czuły słuchacz w własnej duszy dośpiewa... przypatrzmy się kapitanowi.

Zrzucił z ramion burkę krojem płaszcza wojskowego zrobioną i odsłonił postać niewielką wprawdzie, ale czupurną i militarną.

W palonych butach w krótkiej marynarce wstążeczką w guziku—wąs wykręcony węgierską pomadą, czupryna posiwiała cokolwiek ale jeszcze gęsta, krótko przystrzyżona, twarz pełna, rumiana i czerstwa, oko niebieskie, oto aktualny konterfekt pana kapitana.

„Oesterreichisch - ungarischer Militär,“ tak sam siebie lubił nazywać pan kapitan, który był sobie człowieczkiem dobrym, ale nie bez... *ale*.

Przedewszystkiem miał to *ale*, iż był Lwowianinem, i to Lwowianinem czystej krwi. Jak każdy prawie Lwowianin mówił bardzo głośno i bardzo niegramatycznie, i należał do wiecznej opozycyi. Są ludzie nigdy z niczego nie zadowoleni... pan Władysław wymyślał na sejmy, chociaż mandat deputowanego był jego marzeniem—nie cierpiał orderów, co wsze lako nie przeszkadzało mu nosić w pętelce wstąż eczkę czarną z białemi wypustkami, nienawi dził tytułów, a lubił gdy go nazywano kapitanem, chociaż był tylko podporucznikiem Austryackiej piechoty.

Pan Władysław był pessymistą i wojownikiem—należał do wielu bractw i stowarzyszeń nabożnych, a klął po węgiersku, po niemiecku i po polsku. Miał się za człowieka pełnego odwagi, gdyż pamiętał różne bitwy w których nie brał udziału, miał się za uczonego i erudytą, gdyż czytywał „Dziennik Lwowski“ i „Szczutka.“ Pragnął słynąć jako agronom, gdyż był posiadaczem trzeciej części z czwartej części dóbr Sowie głowy w Tarnowskiem, spadłej na niego po ś. p. Hilarym Pomian Iskrzyckim, rodzonym a nieodżałowanym stryjaszku.

Zresztą, zbytecznem byłoby tutaj spisywać biografią pana Władysława, czem zaś był w chwili kiedy przyjechał do Wólki, świadczy bilet wizytowy, który pan Władysław zostawiał chętnie w przedpokojach lwowskich i krakowskich znakomitości, a którego wierzytelny odpis przedstawiamy:

„J. C. K. A. M. Wojsk Austro-Węgierskich 42-go regimentu piechoty, podporucznik w pełnej dymisyi

Władysław Pomian Iskrzycki.

Właściciel dóbr Sowie głowy

Orderu Korony Żelaznej kawaler.“

Cały ten tytuł, jakkolwiek bardziej długi niż imponujący—pewność w zdaniu, głos donośny i mina wojownicza—wszystko to w oczach pani Markowej podnosiło braciszka do tak iej powagi, jaką nie cieszyła się chyba i nie boszczka Pythia, rzucająca wyrocznie z trójnoga.

Pani Markowa, ta potęga wobec swego małżonka, była nicością wobec brata, bo brat był dla niej autorytetem, wyrocznią, kwintesencyą doświadczenia, nauki i rozumu.

I cóż dziwnego, że poczciwa kobiecina, powodowana czystą miłością macierzyńską, nie śmiała sama zadecydować o losie ukochanego pierworodka, nie ważyła sobie zdania męża, rad i uwag księdza Symforyana, ale całe zaufanie położyła w mądrości Władzia.

Któż się zadziwi, że poczciwa pani Markowa, która oprócz napisania kilku kwitków na mięso, nie zgrzeszyła jeszcze żadnym literackim utworem, sama napisała długi list do brata, malując położenie rzeczy, i prosząc o jak

najrychlejszy przyjazd i radę w kwestyi przyszłości kochanego Czesia.

Wprawdzie z listu siostry, pan Iskrzycki pomimo, iż czytywał Dziennik Lwowski, położenia rzeczy zupełnie nie zrozumiał, pojął jednakże to, że siostra wzywa go aby przyjechał. Będąc zaś w „pełnej dymisyi,“ i nie mając nic lepszego do roboty w Sowich-głowach, zapakował po wojskowemu swoje manatki, i po dwóch tygodniach jazdy, stanął szczęśliwie i zdrowo przed wrotami Wólki.

Był oczekiwany, ale też i przyjęty serdecznie—cały zapas najlepszych przysmaków ze wzorowej spiżarni pani Markowej był ustawiony na stole, pół tuzina kurcząt z krwi niewinnej złożyło ofiarę siostrzanej miłości, a dziewczątka uwijały się około stołu, usługując kochanemu wujaszkowi.

Ma się rozumieć, że o interesie, o celu dla którego pana kapitana sprowadzono i mowy nawet być nie mogło, gdyż strudzony podróżą Władzio, potrzebował przedewszystkiem zwątlone siły pokrzepić, i braterstwa o zdrowie i powodzenie wypytać.

Pan Marek wydobył z piwnicy dwie stare omszone bocianki, i tak jedząc, gawędząc o drożyznie robotnika, wysokiej opłacie od wódki, wygłaszając barbarzyńskie opinje na temat samorządu włościan, a zakrapiając to wszystko ożywczym napojem, ani się obejrzeli jak zegar z kukułką jedenastą godzinę wydzwonił i wykukał.

Pan Władysław w gronie rodziny nie żenował się wcale, i ziewnąwszy szeroko, powiedział:

— Trzeba iść spać.

Po tem *dictum*, nastąpiły pocałunki i życzenia dobrej nocy, a gospodarz ująwszy gościa pod ramię, zaprowadził go do swego pokoju, gdzie mu wygodne łóżko przygotowano, wyegzmitowawszy z tej przyczyny cztery stare chomonta, dwie banie z oliwą do maszyn, i cztery pęki postronków, co wszystko ułożone z pewną symetryą, zdobiło jeden kąt pokoju pana Marka.

Pokój ten powszechnie nazywano kancelaryą—kto go tak nazwał i dla czego? o tem kroniki pisane i tradycya milczy, widocznie jednak, miano to wynalazł jakiś złośliwy bardzo człowiek, dla tego chyba, że tam nigdy nic nie pisywano.

A — przepraszam, mimowoli popełniłem błąd, sam byłem świadkiem, że przed dwoma laty zawarto tutaj i spisano dobrowolną umowę pomiędzy Wielmożnym Markiem Chojnowskim, i Janklem Milchmacher spekulantem, o trzyletnie wydzierżawienie pachtu i propinacyi w dominium Wólka.

Tak, pokój pana Marka był rzeczywiście kancelaryą.

Ułożył się do spoczynku pan Władysław, legł odmówiwszy krótki pacierz pan Marek, zapalili sobie fajki do poduszki, pogawędzili parę minut, westchnęli na ciężkie czasy, a potem, kancelarya stała się przybytkiem głośnego chrapania, świadczącego że podróż zarówno jak krzątanie się przy gospodarstwie, bezsenności nie sprawia.

Tylko jeszcze w apartamencie pani domu światło nie zgasło, poczciwa matka tonęła w dumkach i marzeniach, i dopiero donośne pianie kogutów przypomniało jej, że to już północ, i że jutro o godzinie czwartej, minucie 28, wstanie jasne słońce, a z niem i ciemne czarnego życia kłopoty.

IV.

Dawno już w Wólce nie pamiętano takiego ożywienia i ruchu. Wschodzące słońce już wychyliło z za stodoły złocistą głowę, a promienie jego łamały się w brylantowych kroplach rosy na trawnikach i drzewach.

Pan Marek już pojechał w pole, donośny głos pani Markowej brzmiał w kuchni, a pan Władysław spoczywał jeszcze po trudach wczorajszej podróży.

Już Magda i Jagna, dwie freiliny pani Markowej, biegały ze dworu do kuchni i z kuchni do dworu, dźwigając na sobie góry wykrochmalonych spódniczek, czem wprawiały w zadumanie dwóch białych indorów, zostających w widocznem nieporozumieniu z kogutem.

Stary kucharz Bartłomiej w krwawych zapewne zamiarach, przesunął się przez dziedzieniec z okrutnym nożem w dłoni i skrył się w zabudowaniach, a po chwili ostry, przeraźliwy krzyk ofiary, manifestował piąty akt jednego z tych dramatów, o których nikt nie pisze.

W kącie podwórza, stróż Walenty rąbał drzewo, panienki biegały tu i owdzie, służba obojga płci zwijała się na wszystkie strony, a sama pani, jak generał podczas bitwy, rozsyłała ordynanse kierujące całą kompanią gastronomiczną, przedsięwziętą dla ugoszczenia jutrzejszej kompanii.

Była to praca nie lada bo pani chciała wystąpić, a zdaje się że w planach szanownej gosposi leżała przedewszystkiem myśl, aby nikt z gości nie był głodny.

Nie był głodny.... pojęcie o głodzie inaczej bo wygląda na wsi. Jadają tam pięć razy na dzień, nie licząc owych przegryzek, przekąsek i zakąsek, konsumowanych chodzący lub stojący, po prostu tylko chyba dla zabicia czasu.

A cóż dopiero, kiedy liczna kompania ma zjechać, i cały Boży dzionek w gościnnym domu przepędzić. Nie lada też kłopot miała pani Markowa; ale że była specyalistką w swym fachu, w gospodarstwie domowem miała zaprowadzony wzorowy ład i porządek, a w wyprawie otrzymała jeszcze po prababce pozostałe dzieło kulinarnej treści, nie obawiała się przeto krytyki łaskawych sąsiadek, i zajęcie swoje traktowała z tą pewnością, która cechuje tylko artystów, posiadających znakomity talent i niesłychaną wprawę.

Wspomnieliśmy o dziele figurującem w inwenterzu wyprawy ślubnej pani Markowej. Nie od rzeczy będzie zatrzymać się na tym punkcie, ponieważ byt to manuskrypt nader cenny, i pani Markowa nie oddałaby go za pół królestwa. Cała bowiem tradycya kuchenna dwóch niemal stuleci, przedstawiała się w nim w formie przepisów. Pani Markowa ceniła tę drogą spuściznę, komentowaną i dopełnianą przez prababki i babki, nie ze względu na jej archeologiczną wartość, ale dla niesłychanie ważnych poglądów na sprawy żywota w niej zawartych, i dla tego że już teraz nie rodzą się kobiety z takim duchem inwencyi i znajomością przedmiotu.

Na tytułowej karcie tego rękopismu, domowej fabryki inkaustem, dużemi literami wykaligrafowany był napis: „*Thesaurus culinaris, albo gospodyniey wzorowey sekrety, w którym masz specimen ingredyencyey wszelakich, jako i według proporcyi słusznej do pieczenia, warzenia i smażenia zażywać się godzi; przytem w suplemencie znajdziesz sztuki tortarskiej i aptekarskiej sapientiam apteczki domowej nessessitates i różnych innych hcbiałogłowskich rzeczy obfitość.*

(*D. c. n.*)

ROZMAITOSCI.

— Wilde, inżynier w Anglii, wynalazł nowego rodzaju **latarnie elektryczne**, oświecające przestrzeń w promiemieniu 2000 metrów. Wielka siła tego światła, może oddać usługi i na lądzie i na morzu. Przy wielu robotach, wykonywanych dla pośpiechu po nocach, kilka latarń tego rodzaju, będzie w stanie zamienić noc na dzień, zapalenie zaś podobnych latarni na okrętach szczególniej wojennych, ocalić je może od nie jednego podstępu, udającego się pod zasłoną nocy.

— Ameryka północna zostanie oddzieloną od połódniowej, zamierzają bowiem przekopać międzymorze **Panama**. O ile można wnosić z planów, kanał Panamski będzie daleko praktyczniejszym od kanału Suezkiego.

— Klaudiusz Ludwik Mathieu, znakomity astronom francuzki, zmarł w dniu 6 z. m. w Paryżu, przeżywszy lat 92.

OD REDAKCYI.

W skutek objawionego nam przez wielu prenumeratorów żądania, przyrzeczone od czasu do czasu dodatki, na wzór tego, jaki dołączyliśmy do Nr. 18 naszego pisma, zamieniamy z dniem pierwszym kwietnia r. b., na **bezpłatny dodatek stały** do każdego numeru, i pomieszczać w nim będziemy utwory belletrystyczne. Na początek damy czytelnikom naszym piękną powieść z angielskiego tłómaczoną, napisaną przez **Amelią Edwards**, p. n **Przysięga Debenhama**, której pierwszy arkusz dołączamy do dzisiejszego numeru **Ogniska**.

Dodatek poświęcimy utworom tłómaczonym, w łamach zaś pisma dawać będziemy lżejszej treści utwory oryginalne. Tym sposobem tygodnik nasz zyska na rozmaitości bez uszczerbku innych działów w program jego wchodzących.

DONIESIENIA.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

DODATEK do Nr. 27-go „OGNISKA DOMOWEGO".

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

Powieść

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

PROLOG.

A. D. 1842.

W małej i oddalonej karczmie, u wrót jednego z najdzikszych wąwozów Wallii, umierał podróżny. Chory już gdy przyjechał, sześć lub osiem tygodni temu, zwolna gasł od tej chwili, i teraz ku wieczerowi, konał spokojnie i cicho. Żona jego już od południa siedziała przy łóżku umierającego, przysłuchując się niespokojnie słabemu oddechowi męża. Dziecko ich, wysmukły i blady ośmioletni chłopiec, na wpół leżał na wpół siedział w wielkim fotelu przy roztwartem oknie przyglądając się fantastycznym kształtom mgły, wijącej się na szczytach gór i zapadającemu zmrokowi. Siedzieli tak, nie mówiąc ani słowa; w całym domu panowało głębokie milczenie, nie było słychać ani pijących w szynku, ani podróżnych w gościnnej izbie, ani nawet turkotu kół po drodze. Poczta dawno przeszła, nie przywiózłszy ani gości, ani listów, i gdyby nie daleki odgłos rąbania drzewa gdzieś we wsi i odzywające się od czasu do czasu szczekanie psa, zdawałoby się, że życie zamarło w tym odludnym zakątku.

Pokój, w którym działa się ta scena był niski ale obszerny, z oknami o małych szybach wychodzącemi na zachód; gruba i zczerniała belka podtrzymywała sufit, podłoga nierówna w niejednem miejscu się zapadła. Duże łóżko bez firanek stało w jednym kącie, a przy niem mniejsze dla dziecka. Kolorowany sztych w czarnych ramach wisiał nad kominkiem. Chwiejący się na niepewnych nogach fotel, starożytna szafa, pamiętająca czasy królowej Elżbiety, mały kawałek dywanu na środku pokoju, kilka stołków wyplatanych i kiwający się stół z białego drzewa, składały całe umeblowanie; chociaż było ono biedne, gdyż trudno aby biedniejszem być mogło, jednak nie podobna było nazwać tego mieszkania najgorszym pokojem w najnędzniejszej karczmie. Oddalone wallijskie domy zajezdne, do dziś dnia nie są bardzo wygodne ale temu dwadzieścia lub trzydzieści lat, bardziej jeszcze były w sprzeczności z cywilizacyą europejską. Gospodarz, choć słabo, ale zawsze mówił po angielsku, gospodyni dobrą gotowała herbatę, a podróżny mógł mieć kącik osobny, w którym nie potrzebował znosić towarzystwa żadnego obcego przybysza. Były to wszystko warunki nietylko rzadkie ale w niektórych górzystych okolicach zupełnie nawet niepodobne do odnalezienia. Mając na względzie czas i okoliczności, pokój był więc wyjątkowo dobrym pokojem, a oberża wyjątkowo dobrą oberżą, i osoby tam zamieszkujące, nie pozbawione pierwszych potrzeb życia, powinny byly zupełnie być zadowolonemi.

A jednak pewne ozdoby zdradzały staranie o uprzyjemnienie tego życia; na oknie stała czara z dzikiemi kwiatami i mchami a na stole leżało kilka zniszczonych, ale bogato oprawnych książek i stał starożytny srebrny kałamarz misternie wyrabiany. Widocznie, wszystkie te przedmioty należały do podróżnych, bo czara była z rzadkiej włoskiej porcelany ozdobiona bogatemi fijołkowemi i złotemi deseniami, a na okładkach książek, równie jak na kałamarzu znać było herby i korony. Do nich także należały pudła i kufry stojące w kącie, odzienie wiszące na drzwiach i ptaszek milczący w swej klatce.

Drobnostki te pilnemu spostrzegaczowi mogły opowiedzieć całe dzieje tej rodziny szlacheckiej, która zeszła do ubóstwa i zmuszoną była tułać się po świecie.

Takiem było wnętrze tego pokoju, śród którego zapadał zmrok wieczorny. Niemniej posępnym był świat zewnętrzny. Deszcz od kilku dni padał bez ustanku a woda tworzyła liczne i mętne kałuże na drodze i w małym dziedzińcu.

Szare ołowiane obłoki zwieszały się jakby ciężka zasłona nad szczytami gór otaczających wokoło całą tę miejscowość i tylko niższe ich stoki widać było śród ciemności. Wiatr smutno jęczał i wzdychał zrywając po jednemu ostatnie, drżące liście samotnego jesiona, rosnącego przy drzwiach wchodowych. Dziwny jakiś szmer, jakby odgłos szumiącego w dali potoku, napełniał powietrze, a jałowa kamienista płaszczyzna, rozciągająca się z jednej strony do pobliskiego i zamieszkałego przez czaple bagna, prawie cała była pod wodą.

A deszcz lał bez przerwy spadając jednostajnym taktem na dach karczemki i spływając żałośnie z rynny nad oknem pokoju chorego.

Nagle, po pierwszy raz od wielu godzin, usłyszano słaby jęk; było to ledwo dosłyszane westchnienie, a jednakże poruszyło matkę i syna jakby odgłos trąby. On powstał blady i niespokojny, ona podniosła drżącą rękę.

— Cicho! wyszeptała... Rusza ustami; może przemówi....

Wiedzieli, że nadziei nie było. Wiedzieli że umierał. Doktór, który przyjechał z miasteczka sąsiedniego i żałował czasu swego i konia, odszedł w wigilią wieczór, oświadczając poprostu, że chory miał zaledwie dwanaście godzin życia przed sobą. Ale dwadzieścia długich godzin upłynęło od tego czasu, a on jeszcze do rzędu żyjących należał, chociaż puls jego z każdą chwilą coraz słabszym się stawał.

Znowu zajęczał, znowu ustami lekko poruszył....

Chłopiec przysunął się do matki; ona spoglądając na tę bladą, prawie martwą twarz, z wyrazem tak głębokiego przywiązania, iż zdawało się, że to spojrzenie powinno umierającego do życia przywrócić, otarła wilgotne od łez oczy, odgarnęła z czoła rozrzucone włosy i znowu w posępną popadła zadumę.

Twarz chorego, na której smierć już swoje piętno wyryła, blada, wynędzniała, przedwcześnie zmarszczakami zorana, była jednak jeszcze młodą, piękną i nosiła na sobie znamiona godności i wykształcenia których zbliżająca się smierć zatrzeć nie była w stanie. Ten człowiek miał dopiero trzydzieści trzy lat, a od dzieciństwa był chorowitym. Niepowodzenia, straty majątkowe, oddalenie od kraju, niedostatek, były mu dobrze znane. Daleki jeszcze od starości już wiele i gorzko wycierpiał, ale teraz czas cierpień już przeminął i wieczny spokój był bliskim.

— Gdyby tylko jedno słowo — szeptała kobieta — tylko jedno!

Zdawało się, że gorące jej błaganie wysłuchanem zostało. Dreszcz przebiegł po bladych rysach, ręka konwulsyjnie ściągnęła się. Otworzył oczy i raczej poruszeniem ust niż głosem wymówił to słowo: — wody.

Podała mu ją spokojnie, bez łez, ręka jej nawet nie zadrżała, a jednak czuła i wiedziała

dobrze, że już nigdy usta te i oczy się nie otworzą.

Zapytała się go czy spał.

— Tak, wyszeptał cicho. Spałem i marzyłem....

— Marzyłeś, mój drogi?

Zamknął oczy, jakby na znak potwierdzenia.

— O.... o dawnej naszej siedzibie, powiedział.

— O Benhampton?

— Tak— o Benhampton. Zdawało mi się, że mam je przed oczyma.

Spojrzała na niego smutnie się uśmiechając.

— Benhampton znam tylko z imienia, rzekła, a jednak zdaje mi się także, iż mam je przed oczyma, gdy ty o niem mówisz.

Westchnął i znów jak się zdawało powrócił do dawnego stanu nieprzytomności. Jakże ten stan podobnym był do śmierci! Jakże oddech chorego słabym był i coraz krótszym. Żona czuwała nad nim i nie śmiała ani mówić ani ruszyć się. Dziecko stało obok niej płacząc po cichu. A deszcz wciąż padał i spływał z rynny nad oknem, jak gdyby piasek w klepsydrze, rachując bez litości ostatnie chwile uchodzącego życia.

Znowu niedługo przemówił.

— Pamiętasz, wyszeptał.

— Pamiętam Reginaldzie.

— W kaplicy.... w Benhampton.... pod oknem od północy....

— Tak mój drogi — tak.

Ścisnął jej rękę. Siły szybko uchodziły i głos stawał się coraz mniej wyraźnym.

— Powiedz mi.... raz jeszcze — wyjąkał — czy przebaczasz?

— Przebaczyć! O mój drogi, cóż mam do przebaczenia? Nic — nic — nic!

Spojrzał na nią, i dziwny uśmiech opromienił jego oblicze, jakby światłem nadziemskiem.

— Niech was Bóg błogosławi! rzekł głosem ledwie dosłyszanym. Niech was Bóg błogosławi... oboje....

Światło znikło; oddech ustał, palce ściśnięte rozwarły się.

Zdawało się tym co pozostali, że za chwilę znów się poruszy, znów spojrzy, przemówi. Nic się na pozór nie zmieniło w tych ostatnich chwilach. Mogłoż już ustać bicie jego serca? Może to zmrok wieczorny tak oblicze jego pokrył szarawym cieniem jak gdyby zasłoną? Czy może był to koniec? Może to była śmierć?

Przejęty dziwnym strachem, chłopiec nagle głośno się rozpłakał.

— Zabierz mnie, matko!—wołał—zabierz!

Ale matka, zamiast go wyprowadzić, przycisnęła głowę jego do swoich piersi, całowała go, płakała nad nim, tuliła się do niego. Jego jednego teraz miała.... Na całym szerokim świecie nie miała nadziei, nie miała radości, nie miała miłości innej, prócz tego wątłego dziecięcia sieroty...

Uklękła przy łóżku, trzymając go ciągle w swem objęciu i głośno się modliła. Wyrazy jej modlitwy były proste, bez związku, a chłopiec powtarzał je za nią jak dziecko. Nareszcie przyszły te słowa, których brzmienie odpowiada, jakby echem, cierpieniom wszystkich ubiegłych wieków: Niech się stanie wola Twoja.

„*Niech się stanie wola Twoja!* Pięć słów tylko, a jakież ich dzieje. Wiele one ran zabliźniły! wiele łez przez nie stało się świętemi! Wiele serc rozdartych, wiele żywotów skalanych, wiele domów opuszczonych, poświęciły i okryły nieznaną radością, jakby kwiaty rosnące na grobach! Czyż poddanie się, pokora, męstwo mogą zajść dalej? Czy jest jakie bohaterskie zdanie w dawnych czasach, jakie świetne wyrażenie filozofa, poety lub męża stanu, któreby natchnąć mogło tak wielką odwagą? Niebo nic więcej żądać, a człowiek uczynić nie może.

ROZDZIAŁ I.

Kościół Ś-tej Hildegardy.

Daleko na wschód od Temple Bar, za Ś-tym Pawłem, za Mansion House, za Bankiem, słowem po za tem wszystkiem co się znajduje na planie eleganckich dzielnic miasta, wznosi się od blisko tysiąca lat kościół Świętej Hildegardy męczenniczki. Zagrzebana wśród tej gęsto zabudowanej dzielnicy o ciasnych uliczkach, ciągłym przejeździe wozów i nielicznej ludności, skromna ta świątynia tylko tem się odznacza, że jest jednym z najmniejszych kościołów w jednej z najmniejszych parafii Londynu. Nie posiada ona nic godnego uwagi. Nie jest ani ciekawą, ani piękną, ani nie ma wspomnień historycznych. Nie ozdabia jej żaden pomnik starożytny, nie posiada okien malowanych, rzeźb z drzewa lub kamienia, jest tylko jak mówiliśmy, małym i starym kościołem bez parafian, w parafii bez mieszkańców. Ogromne składy towarów otaczają ją wokoło; od pierwszego brzasku dziennego do samej nocy, ciężkie, obładowane wozy przejeżdżają na wszystkie strony, zagłuszając wszelki inny odgłos. Jedno okno, okryte kurzem kilkowiekowym, wychodzi na wąską uliczkę, prowadzącą do doków nad rzeką, inne spoglądają na dziedziniec otoczony składami i kantorami, w których w lecie promień słońca nigdy nie zagości, a w zimie cały dzień gaz się pali. Z tego dziedzińca, na który się wchodzi przez ciemne przejście, jakby przez tunel wykuty pod składami, wstępuje się do świętej Hildegardy. Jestto miejsce szczególne, na pozór tak oddalone, a rzeczywiście tak bliskie świata, ludne w dzień, a stające się prawdziwą pustynią, gdy się ukończą godziny dziennej pracy; czasem gwarne turkotem przejeżdżających kół, echem szybko stąpających nóg, i licznych różnorodnych głosów, to znów pogrążone w grobowem milczeniu. Gdy się tam wejdzie w piękny wieczór letni, kiedy niebo jeszcze jasne, parki ludne i wesołe, a pobliska rzeka kołysze na swych falach dziesiątk parowych statków, osamotnienie tego zakątka, dziwne i uroczyste sprawia wrażenie. Zdaje się, że się weszło do miasta umarłych.

W taki letni wieczór, po ślicznym czerwcowym dniu, roku pańskiego 1860, urywane dźwięki śpiewów napełniały mały dziedziniec, wychodząc z kościoła przez okno otwarte i drzwi tylko przymknięte; były to hymny, śpiewy kościelne, zaczynane, przerywane, powtarzane. Trwały te śpiewy blisko trzy kwadranse, poczem nastąpiła chwilowa cisza; później słychać było jak małe nóżki, ciężko obute, sztępowały ze schodów, wreszcie drzwi gwałtownie się otworzyły i gromadka dzieci, niecierpliwie rozsypała się po dziedzińcu. Były to ich blisko dwadzieścia; niektórzy z chłopców byli ubrani w popielate z żółtemi wyłogami mundury parafialnej szkółki, ale w ogóle chłopcy i dziewczęta mieli na sobie ubranie domowe, i niezbyt porządnie wyglądali.

Chwilę się zatrzymali na progu, spoglądając po za siebie.

— A więc o wpół do jednastej rano w niedzielę, rzekł głos ze środka kościoła.

— Tak, panie, o wpół do jedenastej—odpowiedziało kilka piskliwych głosów.

— Ani minuty później— pamiętajcie.

— Nie, panie, z pewnością.

I tak odprawieni na dobre, rozbiegli się po dziedzińcu, ze śmiechem i krzykiem, rzucając w górę czapkami, goniąc się po kątach, i nareszcie znikli pod ciemną arkadą, wiodącą do zewnętrznego świata.

Gdy już wszyscy opuścili dziedziniec, i odgłos ich kroków zupełnie ucichł, na progu ukazał się młody człowiek; stał przez chwilę z gołą głową, oświecony jaskrawem światłem zachodzącego słońca, odetchnął głęboko, jak gdyby chciał napoić się świeżem powietrzem, rzucił zazdrosne spojrzenie na kawałek jasnego nieba, ukazującego się po nad dachami domów, i niechętnie, jak się zdawało, powrócił do kościoła, ciemnego i posępnego jak jaskinia.

Zamknął drzwi ze środka, budząc smętne echo w pustej nawie. Zmrok już tam panował, a w niektórych miejscach stawał się najgłębszą nocą. Wysokie gałęzie drzewa, rosnącego samotnie przed oknem, rysowały się jakby odlane ze spiżu, na jasnem tle nieba. Gdzie niegdzie, zwiększając jeszcze ciemność przeciwieństwem, blady promyczek przesuwał się po ścianach, zatrzymywał na balustradzie i na ambonie, i odbijał na piszczałkach maleńkich organów, stojących w kącie obok drzwi do zakrystyi.

Powierzchowność tak mało zajmująca i tak niewdzięczna Ś-tej Hildegardy, odpowiadała brakowi piękności jej wnętrza. Nawa długa na jakie sto stóp, a szeroka na czterdzieści, więcej przypominała, pomimo szczątków starożytności, źle oświetloną salę zebrań publicznych w prowincyonalnem mieście, aniżeli kościół. Gołe kamienne ściany, miejscami nieumiejętnie pomalowane, okryte były pleśnią i obwieszone jaskrawo kolorowanemi tablicami, na których wypisano zdania z Pisma Świętego. Rzędy klęczników wyplatanych słomą, napełniały nawę, sufit nad ołtarzem pomalowany był na niebiesko i ozdobiony gwiazdami z papieru złoconego, z których jedne odpadły, a drugie wisiały na pół oderwane. Serce złocone i kilka wieńców z nieśmiertelników były zawieszone nad ołtarzem, a obok na stoliku, okrytym serwetą szydełkowej roboty, stało małe szklane naczynie z resztkami wina sakramentalnego. O tej wieczornej godzinie, miejsce to było posępne; czyniły je takiem; milczenie w niem panujące, odosobnienie w jakiem się znajdowało, a zwłaszcza nędza, zdradzająca się w ubogich przyborach kościelnych, i w błahych ozdobach.

Młody człowiek, który się zamknął w kościółku wraz z cieniami nocy, był do tego wszystkiego przyzwyczajony i na posępność miejsca obojętny. Dla niego kościołek nie był ani milczącym, ani opuszczonym, bo w nim odzywały się najszczytniejsze dźwięki melodyi, i duchy Händla, Mozarta, Bethowena zdawały się przemieszkiwać. Człowiek ten, bardzo młody i bardzo biedny, namiętnie kochał swą sztukę, i był parafialnym organistą, z pensyą roczną dwadzieścia pięć funtów szterlingów.

Zważywszy, że mieszkał w Islington, odległem przynajmniej o pół mili od Ś-tej Hildegardy, i że oprócz trzech nabożeństw w niedziele, musiał grać co dzień na rannem nabożeństwie, a w dnie świąteczne i na drugiem o jedenastej, trzeba wyznać, że te dwadzieścia pięć funtów były dobrze zapracowane. Pomimo to nie był niezadowolonym, był owszem szczęśliwym. Pensya zapewne była niewielka, ale on jednak gotów był podjąć się wielkich obowiązków. Uważał je za doskonałe ćwiczenie, a siebie poczytywał za szczególnie szczęśliwego, że się im mógł poświęcić. Może zresztą w istocie tak było. Zdolności muzyczne nie są rzadkie, i nie brak na świecie młodych organistów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою.